

Antoni Stelmach

ul. Pułkowa 7 m 66.

BIAYYSTOK

ARCHIWUM WSKAZNIE

Nie urodziłem się na tych terenach. Urodziłem się w województwie łomżyńskim. Natomiast studia skończyłem w Warszawie - wydział matematyczny. Ale ponieważ korzystałem ze stypendium fundowanego, to według wówczas obowiązujących przepisów obowiązany byłem do pracy w szkolnictwie tam, gdzie była największa potrzeba. Z tego względu zostałem skierowany na teren województwa nowogródzkiego, gdzie kierowało także kuratorium. Bo to kuratorium było wileńskie.

Jestem pochodzenia chłopskiego, z łomżyńskiego. Wojna zastała mnie na stanowisku inspektora szkolnego. Byłem objęty mobilizacją. Ale zgodnie z zarządzeniem Ministerstwa Oświaty zostałem reklamowany, bo wszyscy pracownicy państwowi na stanowiskach kierowniczych o-trzymali reklamacje. Ja, chociaż byłem oficerem rezerwy, zostałem. Nawet moi zastępcy zostali zmobilizowani, ale ja musiałem pozostać na miejscu.

Mój teren działania, na którym znajdowały się szkoły, które mi podlegały, to one znajdowały się na terenach sięgających aż do samej granicy państwowej, polsko radzieckiej. I wojna mnie ... sieć demnasty września zastał mnie na stanowisku inspektora szkolnego. I ponieważ ten teren był pograniczny - co prawda do granicy było nieco ponad czterdzieści kilometrów - ale już o godzinie jedenastej czołgi wjechały do tego miasta, gdzie ja urzędowałem. Było to miasto Wołożyn położone w województwie nowogródzkim.

No i... no i właściwie tak: ja miałem mieszkanie służbowe na kolonii urzędniczej. Bo inspektor miał takie prawo, podobnie jak starosta, bo szkolnictwo było niezależne - urząd niezespólny - więc najpierw, w dniu osiemnastego przyszedł lejtnant NKWD i przeprowadził mi żołnierza, też NKWD, szeregowca. I powiedział mi tak: stój tu przy drzwiach, przy wejściu, bo to nie były drzwi lecz wejś-

cie na teren urzędu, że kogo gospodarz pozwoli, to wpuścisz. A kogo powie ci, żeby wypuścić, to wypuść. I tak było osiemnastego, dziewiętnastego, dwudziestego i dwudziestego pierwszego z rana. Ja mogłem wychodzić. Oni rzekomo... Teraz powiem, jaki był cel ich. Bo ja miałem swobodę. I ten żołnierz był jakgdyby do mojej dyspozycji. Bo jak powiedziałem: wpuścić, to wpuszczają.

Ale dwudziestego pierwszego tenże sam lejtnant przyszedł i powiedział tak: czy ja nie nawiązałbym jakichś kontaktów z ich władzami. Przede wszystkim zaś z naczelnikiem tymczasowego zarządu cywilnego. Ja odpowiedziałem: owszem, ja mam taki zamiar / bo rzeczywiście taki zamiar miałem/. No i do tego naczelnika się zgłosiłem. On oczywiście, po krótkich tam rozmowach... najpierw częstował mnie herbatą, papierosami. Ja nie paliłem, a za herbatę podziękowałem. I ustaliliśmy tekst pisma. Uzgodniliśmy bowiem, że ja wydam pismo, że nauczyciele bezzwłocznie mają przystąpić do pracy w szkołach. Tylko na razie. Bo ja jeszcze angaży dla nauczycieli religii nie wystawiłem: ani prawosławnym ani katolickim, żadnym. A nauczanie religii wstrzymuję do odwołania.

Kiedy to już wszystko ustaliliśmy, że ja mam to pismo wydać, wówczas wszedł do mnie z sąsiedniego pokoju - bo to spotkanie odbywało się w budynku starostwa - kapitan, szef NKWD na cały powiat. Tamten był lejtnant, a ten kapitan. I powiada tak: jak skończycie swoją naradę, to może pozwolicie do mnie. I my ze sobą też tę naradę przeprowadzimy. Ale mówi tak: możecie dziś, możecie jutro. To nie jest pilne. Tak mi powiedział. Ja pomyślałem sobie tak: tu jest tak nieprzyjemnie, to może dziś.

Zaszedłem do jego pokoju. I on najpierw też tak: herbata, a to papierosy. Ja za to wszystko podziękowałem. Potem, po kilku zdaniach rozmowy na tematy niewiele znaczące tematy, wprowadził żołnierza NKWD, który stał na korytarzu i zarządził rewizję osobistą u mnie.

No i wtedy zabrano mi okulary. Kapitan dopominał się też, gdzie jest mój zegarek. Bo ja wychodząc zegarek zostawiłem w domu. Więc ponieważ oni chwilowo nie mieli aresztu przygotowanego - zaprowadzili mnie - ten sam kapitan z tym żołnierzem, do biblioteki. Bo tam poprzednio mieściła się biblioteka. I również przed drzwiami tej biblioteki stał żołnierz. Wewnątrz było już kilka osób już zatrzymanych. Zatrzymani tam byli między innymi: burmistrz miasta, inni pochodzili z terenu powiatu.

Stojącemu przed drzwiami żołnierzowi wydał takie polecenie: jakby chciał uciekać - bo w pomieszczeniu były okna, chociaż sala była na piętrze - to rzucaj granatem. Tak mu powiedział.

No i po jakimś czasie, może po dwóch-trzech godzinach, przyjechał samochód i odwieźli mnie do aresztu miejskiego. Bo więzienia nie było w tym powiecie tylko areszt. I w tym areszcie mnie osadzili.

Potem wzywali mnie tylko na dochodzenie. Dochodzenie przeważnie trwało w nocy. Tak około godziny drugiej przychodził żołnierz, wymieniał moje nazwisko: Stelmach - na waprośy /na odpowiedź/pytania? I siedział tam za biurkiem poprzedniego dowódcy batalionu KOP-u i takie przerzucanie się: powiedział tak: ty jesteś inspektor? - tak.

- to ty polonizowałeś Białorusinów.

- Nie. Bo przecież u nas jest ustawa o szkolnictwie mniejszościowym. I tam, gdzie ludność - czterdzieści osób podpisze deklarację, że sobie życzy nauczania w języku innym, to taką szkołę dostanie. I ja mam takie dwie szkoły. A trzecia jest w trakcie organizacji. Tu podałem miejscowość Wołki. /Bo ja rzeczywiście chciałem, chciałem mieć kilka takich szkół ~~miej~~ dla statystyki. Bo ustawa na to zezwala. Jeździłem tam ze trzy razy, ale mieszkańcy sami zre-

zygnowali. Powiedzieli, że nie chcą, bo po co im. Bo oni tak nazywali: język urzędowy i język prosty. Oni mówili: prostym językiem to on i ode mnie się nauczy. Ale niech się on nauczy dobrze polskiego języka. Tak mi ci chłopcy mówili: bo on z tym polskim językiem to może pójść w świat/.

- Idźcie - powiedziałem - macie teraz dostęp do moich akt. Zobaczcie w tych miejscowościach. Zobaczycie, że ja mówię prawdę, że tak było./ a tak przy okazji: na terenie mojego działania spośród ludności chrześcijańskiej to siedemdziesiąt procent stanowili Polacy, a tylko trzydzieści procent ludność miejscowa. Mówię miejscowa, bo oni nie przyznawali się do Białorusinów. Gdy ich pytano, jaka narodowość, to on powiada "tutejszy". Tak to określali. Jak ruski był, to mówił, że ja jestem Białorus, a jak teraz jest Polska, to ja chyba jestem Polonus. W rzeczywistości oni do tego nie przyznawali się. Oczywiście mam tu na myśli ludność wiejską. Bo na przykład w Wilnie była taka grupa działaczy białoruskich. Coś tam nawet wydawali, jakieś czasopisma. A ludność prosta to: tutęjszy i koniec./
- Przyznaj się, żeś "apalacziwał" Białorusów /polonizowałeś Białorusinów/. I dalej - wyliczając na palcach:
- Tyś Polak, szkoły polskie, ludność białoruska. Przyznaj się, żeś polonizował./ teraz ja, wyliczając na palcach/:
- Ja jestem Polakiem, szkoły polskie, ale dlatego, że ludność miejscowa nie chciała takich szkół. Miałem na swoim terenie dwie takie szkoły, chciałem trzecią, której już nie zdołałem zorganizować.
- Tak, ale gdyby ich więcej chciało, to ty byś ich wysłał

do Berezy Kartuzkiej. I oni dlatego nie chcieli.

nadal trwało to takie przerzucanie się. Po raz drugi mówi mi: no, przyznaj się, żeś ty "apaláciwał" Białorusów. Ja nadal odmawiałem przedstawiając swoje argumenty.

Ale to im wcale nie przeszkadzało. Następnego dnia znowu mnie wezwano. I znowu przez dwie godziny znowu to wałkowanie: przyznaj się! Ja nadal odmawiałem przyznania się.

W czasie tych przesłuchań był taki moment. Widzę, że obok przesłuchującego stoi szklanka wody. Poprosiłem, żeby mi dał tej wody. On zaś na to: przyznaj się, to ci dam wody. To ja po rosyjsku do niego powiedziałem: "Bieri siebie k'czortu tę wodę." To jakby potwierdzało starą, enkawudowską zasadę: nam żadnych świadków nie potrzeba. Nam winny musi sam się przynać. My tak potrafimy do niego mówić, że on sam się przyzna.

Trzecia noc minęła tak samo. I czwarta tak samo. Kiedyś, gdy u niego jestem, to on chwycił za pistolet. Ja na to powiedziałem: jeżeli wasza władza zezwala do człowieka niewinnego i bezbronnego strzelać, to strzelaj. On wtedy schował pistolet. I wściekły powiedział: na takich jak ty i na ciebie to nawet tej kuli szkoda. I takie to były "pogwarki."

Na tym to dochodzenie się skończyło. Nadal byłem w areszcie. W pewnym momencie, gdy nadal byłem w areszcie, przyjeżdża jakiś taki ze złotym kołnierzem. U nich oznacza to kogoś z bezpieczeństwa państwa. Był to urzędnik, który przyjechał z Moskwy. Bo tam te akta przesłali i on je tam przeglądał. I on do mnie się zwrócił. On też pierwszy zaczął ze mną tak po ludzku zaczął rozmawiać. Ale to nic nie pomogło. Powiedział tak: o, widzę, że źle wyglądacie, ale długo już siedzieć nie będziecie. Tylko wiecie, jest taka rzecz: wy zostanieie zwolnieni /taki chyba wniosek zamierzał postawić/, ale tu nie zostanieie. Tu byliście na urzędzie. Teraz zostanieie prze-

wiezieni na inny teren w Związku Radzieckim i tam nadal będziecie pracować.nadal w swoim zawodzie.

Ale gdzie tam.Wszystko jedno wywieźli mnie potem do Borysowa nad Berezyną.Tam,w Borysowie,jeszcze za czasów polskich był zbudowany klasztor.Bo tam Berezyna jest w takich pięciu odnogach tworząc w ten sposób wyspy.I na jednej wyspie Benedyktyni zbudowali klasztor i kościół.Po rozbiorach Polski Rosjanie zamienili to na więzienie.Z tej wyspy prowadził most zwodzony.Tam właśnie władza radziecka również utrzymała więzienie.Ale na przykład warunki były takie:w celach,które dawniej były przeznaczone dla jednego więźnia /pojędynki/ to nas lokowano po dwanaście osób.Z tego powodu było wyjątkowo duszno.I na przykład tak:myśmy się położyli na podłodze,to trzeba było na boku,ale i tak dla jednego brakło miejsca.Tom siedział na tej paraszy,na kotle,w którym były nieczystości.

I tak myśmy siedzieli.Po jakimś czasie otrzymuję pismo z Moskwy- osobnoje sowieszczanije - specjalne zgromadzenie jak gdyby, specjalna instytucja orzekła mi,że taki i taki "ukreplał polskuju włast' na Zapadnoj Biełarusi" i zostaje skazany na trzy lata isprawitielnych łagierej,czyli poprawczego obozu pracy /za umacnianie polskiej władzy na zachodniej Białorusi/.

Oczywiście żadnej rozprawy nie było.Wszystko to odbyło się zaocznie.No i potem mnie wywieźli,przez Orszę i tak dalej.Ponieważ ja tak... jeszcze przy tym dochodzeniu widocznie złe wrażenie na tych władzach zrobiłem,to mnie zakwalifikowali do najokropniejszego obozu.mianowicie skierowano mnie do łomi SKR.

Zawieźli mnie tam i tak na przykład:gdy nas tam zawieziono,kazali wysiadać.To był jeszcze początek... to tajga była.wyrzucili nas z samochodów,bo kilka samochodów było.To był sierpień 1940r. i powiedzieli:wy sobie kopcie ziemianki,bo musicie się skryć przed

tym. Tam akurat była taka górka i my zaczęliśmy kopać tę ziemiankę. Z biegiem czasu dały o sobie znać dolegliwości, zwłaszcza reumatyzm. Był to wynik spania w ziemiance. Po trzech dniach zbudowano baraki. Były one nieco inne od tych, jakie znamy z opowiadań. Z drewna był tylko szkielet. Natomiast boki i góry były z brezentu. Jako ogrzewanie był piecyk.

Wówczas skierowano nas do pracy. Na czym ta praca polegała? Byliśmy przecież w obozie, który nazywał się "Siewierlag" powołany do budowy Północnej kolei. Oni budowali bowiem kolej od Archangielska przez Kotlas, przez Pieczorę i aż do Nowego Portu, który był po stronie Azji. I w miarę tego, jak ta budowa postępowała, to nas przesuwali coraz dalej, coraz dalej.

Nasze warunki mieszkaniowe były takie. Mieszkaliśmy w barakach, w których były piętrowe nary z desek i nic więcej. Na tym można było się położyć. Ale gdy człowiek czasem wrócił zmoczony, to wszyscy cisnęli się do tego piecyka, żeby się ogrzać. Praca trwała dwanaście godzin. Na czym ta praca najpierw polegała? Najbardziej charakterystyczne było to, że budowa ta odbywała się przy pomocy najbardziej prymitywnych narzędzi. Bo tam w użyciu były najczęściej: młot, klin żelazny i taczka, i łopata. Żelaznym klinem trzeba było odłupywać twardej ziemię i taczka wieźć na to miejsce, gdzie miały być układane tory.

Z wyżywieniem to najpierw było tak: jeśli zupa, to z takich drobniutkich rybek, która u nich nazywa się "komsa". Były to rybki, które w tamtejszych rzekach występują masowo. Po złowieniu, bez żadnego sprawiania wrzucano ich kilka do kotła. Była to okrasa do zupy. A zupa to początkowo była śruta z bowa. Śruta, nie jakaś tam owsianka. Później zaczęto dostarczać i kartofle, które też do tej zupy wrzucano. Co zaś się tyczy chleba, były to na początku wysortowane z magazynów wojskowych suchary z chleba razowego. Były to suchary może

z przed pięciu - sześciu lat. Rano był ten kipiatak, bez cukru oczywiście. Mówili na to "czaj". A to była woda gotowana. I na wieczór to samo. Tośmy podtrzymywali się tymi sucharami. Potem już, po kilku miesiącach to zorganizowali wypiek chleba. Oczywiście ten wypiek zorganizowali sami więźniowie. Ciasto było bardzo rzadkie. Dlatego pieczono na takich dużych blachach, bo tak, to by się rozleciało. Ten chleb to już był trochę lepszy. Chleb przydzielono na zasadzie wykonanej pracy. Jeśli wyrobi się normę, to otrzymywało się dziewięćset gramów takiego mokrego chleba. A jeśli normy nie było, to 60dkg. To sobie należy dobrze wyobrazić: trochę byle jakiej zupy i byle jakiego chleba i to miało starczyć na cały dzień, na dwanaście godzin pracy. Warunki nie zmieniały się w zasadzie, gdy nas, w miarę postępu robót przesyłano dalej.

Śmiertelność była duża. Ja byłem bardzo ostrożny. Zdrowy byłem wówczas bardzo. I dlatego jakoś wytrzymałem. U nich to było tak: poranny apel. Nie zgadza się, że to niby ktoś uciekł, a oni mylą się przy liczeniu. W takiej sytuacji trzymają i z godzinę na mrozie. Wieczorem znów sprawdzanie, czy ktoś nie zginął. Właśnie były bardzo częste apele, tak zwane "prawierki".

Ja tam byłem tylko rok. Całe szczęście, że wyszła amnestia. Wówczas wyszedłem, bo drugiego roku to bym nie wytrzymał. Tam śmiertelność była taka, że w czasie tych apeli dwie - trzy osoby padały. Tam-tejsza brygada, jak oni nazywali "kolone", na początku liczyła stu ludzi. Mniej więcej, około stu ludzi: stu pięciu na przykład i tak dalej. Ale potem, jak ubywa coraz mniej, to znów przywożą i znów jest sto. I tak dalej. Ale wszędzie, gdzie była budowa, tam wszędzie były cmentarzyska. I tam, jak oceniam, na przestrzeni budowy kolei, to tam około ćwierć miliona ludzi pozostało na zawsze. Bo tam był długi odcinek tej kolei. Potem myśmy przekroczyli Peczorę i szliśmy dalej. I już jechaliśmy dalej, za Workutę nawet. Bo ta kolej miała dochodzić

aż do Portu Północnego na Oceanie Lodowatym. A dlaczego oni budowali, to chcę powiedzieć. Najpierw w Kuś Uchta - tak się nazywała miejscowość - wykryli ropę naftową. A potem, koło Workuty - węgiel kamienny. I po to, żeby to transportować, budowali tę kolej i żeby to połączyć z portem, który leży po stronie Azji.

I myśmy jechali. Wtedy naraz zatrzymują nas. Wtedy podjeżdża statek, a właściwie barka, bo ją ciągnął taki statek - holownik. I nas załadowano do statku. I wtedy zaczynają do nas mówić, że my "grażdanie". Bo właśnie wówczas przyszło zarządzenie, żeby nas zwolnić. I wówczas dali nam inne, lepsze wyżywienie, tak zwany "trzeci kociok". Następnie nas troszkę cofnięto. Osadzono nas w jakimś miejscu po to, żebyśmy się poprawili, w lepszych warunkach.

Ale w pewnym momencie ja zachorowałem. Zachorowałem tam, jeszcze będąc w obozie pracy. Zachorowałem na awitaminozę, ale w awitaminozę w najwyższym stopniu to, co Rosjanie nazywają "piłagra". Bo miałem już takie pręgi, takie pasy fioletowe i obrzęki. Na tym etapie choroby człowiek stale ma pragnienie. Chociaż tam uprzedzali, żeby powstrzymywać się. Ci, którzy nie powstrzymywali się, to ich roznosili i umierali. I ja już byłem w takiej stacjonarce, gdzie był tylko felczer. I tylko przypadek mnie uratował, bo ja też już byłem w takim stanie, że już się ja kończyłem.

Akurat przyjechała tak zwana zarządzająca "sangorodkiem", to znaczy zarządzająca grupą szpitali. Ona była Polką. Straciła rodziców i po pierwszej wojnie światowej wyszła za Rosjanina. Skończyła medycynę i była na wolnej zsyłce dlatego, że była Polką. Jak ona przyjechała i zobaczyła w tej stacjonarce, w jakim jestem stanie, zwymyślała tego tego felczera: jak ty możesz tak się znęcać nad tymi ludźmi? I ona mnie w ten sposób w ostatniej chwili ~~mnie~~ uratowała. Gdyby nie ona, to ja ~~napewno~~ tam bym został.

Tam mnie wykąпали, dali jakąś tam bieliznę, kojki były już tylko

no i wyżywienie lepsze. I zaczął mnie badać stary lekarz z czasów carskich. I tak mnie dokładnie dopytuje się, co ja robiłem i tak się zastanawia. A tam było dużo tych baraków szkolnych. W jednym baraku było 74 miejsc/?/. Ja dostałem cztery porcje surowego mięsa. On powiedział, że coś takiego to dla wszystkich potrzeba. Ale ja wam jedną będę przeznaczal. Drugą porcję otrzymywał student - Francuz i jego kolega Polak i jeszcze ktoś czwarty. Miał troszkę witamin. Powiedział: ja wam dam i ja was będę ratował.

I rzeczywiście, tak jak obiecał, otrzymywałem surowe mięso jakby tatar. To było mielone mięso, coś tam jeszcze było dodane. Bo ja nigdy przedtem nie jadłem tego tataru, ale pomyślałem sobie: skoro to jest lekarstwo, to muszę jeść. I tego dużo dali, bo tak sto pięćdziesiąt gramów na obiad i sto gramów na kolację. W sumie było to ćwierć kilo.

Przez dwa tygodnie takiej kuracji znacznie się poprawiło. A naczelnik tych baraków miał swój barak, ale i ten mu podlegał. Zawsze nalegał, że jeśli ktoś poczuje się lepiej, to żeby zaraz wypisywać. I kiedyś ten stary lekarz mówi do mnie: no, co ja zrobię? Wyście się poprawili. A ten naczelnik tego obozu, Żyd wprowadził, nalega, żeby wypisywać. I on mnie wtedy pouczył. Wy pójdziecie do takiej grupy ozdrowieńców. Jeśli zachorujecie, to natychmiast wracajcie, ale koniecznie postarajcie się dostać do jego baraku. I rzeczywiście, ja po jakimś czasie zachorowałem i znalazłem się u niego. On mnie zapytał, jak ja się czuję. Odpowiedziałem, że "płoch". Innym razem mówiłem, że lepiej "niemnożko". I tak to się ciągnęło. Byłem u niego aż do pierwszego lutego.

Podczas mojej choroby moje grupy Polaków w miarę postępu pracy przy kolei poszły dalej. Gdy wyszedłem, to mnie przydzielono do "bytowików". Po prostu znalazłem się w grupie pospolitych przestępców. Oni mieli najlepsze warunki. Oni oszukiwać umieli. Ich praca polega-

ła między innymi na wydobywaniu kłoców drzewa. Nawet pamiętam nazwisko ich brygadzisty - nazywał się Kuźniecowa. Gdy pierwszy raz znalazłem się w tej brygadzie, wszyscy byli mi obcy, ruscy. Ale to wszyscy złodzieje, bandyci. Ale tu już jest powszechna sztańca i solidarność. Zajdziemy do pracy, dwa - trzy kłocce przeciągniemy i brygadzista mówi: no, rebiatiszki, do "kosterka" - do ogniska. Siedzimy długo przy ognisku, grzejemy się - bo tam drzewa jest dosyć - i tak czas upływa. O jakimś czasie znów mówi: porabotajem niemnożko. I znowu wracaliśmy na jakiś czas do pracy.

Kiedy, w danym dniu, siadaliśmy do ogniska, brygadzista mówił: no, ty Aloszka rabotaj swaio. A tam były sztaple drzewa postawione już wcześniej i oznaczone odpowiednio. Wówczas szedł Alosza, który miał coś takiego, za pomocą czego wycierał dokładnie te oznaczenia. I gdy przychodził "prorab" przychodził, to mu po raz drugi pokazywano te sztaple, które już wcześniej były raz policzone. I wychodziło na to, że nasza brygada wychodzi jako udarniki. Brygada Kuźniecowa to Udarniki. Przodownicy pracy.

I w ten sposób w tej brygadzie też mnie to pomogło. Bo tam były znacznie lepsze warunki.

Teraz opowiem, jakie jest u nich w szpitalach oszustwo. Gdy nawet przyjeżdżał ktoś i z Czerwonego Krzyża i pytał: dostajecie mięso? Padła odpowiedź - tak, dostajemy. A witaminy? - Też. Wówczas padała konkluzja: no to tu są dobre warunki: i mięso dostają i witaminy też dostają. Nie wiedzieli jednak, że coś takiego dostaje tych czterech na siedemdziesiąt cztery osoby. I to jest oszustwo. I dlatego wszelkie kontrole, zwłaszcza te z Czerwonego Krzyża, dochodziły do wniosku, że tu są dobre warunki. Bo własne, wewnętrzne kontrole dobrze wiedziały, jaka jest rzeczywistość.

Kiedy byłem na leczeniu w baraku naczelnika, to major, który był na wolnej zsyłce, bo mu więzienie uciekło, zachorował /przeziębienie/

i znalazł się tu. Był nie w moim baraku, lecz przebywał osobno. Ale on przychodził na takie rozmowy. Siadał i rozmawiał. Tu przytoczę jego wypowiedź, gdy on powiada tak: widzisz, czy ty nie podziwiasz tego, tu, za cara, za dawnych władz mogłaby być budowana kolej przez te taigi i tundry? A władza radziecka widzicie, jak buduje. A ja jego zapytuję tak: słuchajcie, a czy widzicie i czy zastanawiacie się, że tu po każdej kolumnie jest cmentarz? Ile tu istnień ludzkich zginie? On mi na to odpowiedział: ty znasz historię Rosji? Znam. A ty wiesz jak Petersburg, a dzisiejszy Leningrad budowali? Piotr budował go na błotach. I tak jak mówią, został on zbudowany na czaszkach ludzkich. Napisał rozdzielnik do bojarów. Gdy ci wyginęli, znów nowy rozdzielnik, znów nowi kudzic, i ci znów ginęli w tym błocie i tak było. Ale się mówi: Piotr Wielki. O tym się nie pamięta. Mówi się, że Piotr Wielki wyrąbał okno na świat i został wielkim. Tak samo będzie i z tym: ludzie zapomną o tym i będą słać władzę radziecką za to, że zbudowała taką kolej, o której się nikomu się nie śniło. O, taki był sposób jego rozumowania.

Taka u nich jest filozofia. Tak rozumował przecież major NKWD, mówił o tym z zupełnym przekonaniem. Znałem język rosyjski na tyle, że mogłem z kimś porozmawiać. Wprawdzie trochę mu w tych rozmowach przeczyłem, ale on właśnie mnie upatrzył do takich rozmów. On na to zupełnie nie reagował: był wyraźnie zadowolony, że ma rozmówcę. Mógł o tym mówić.

Potem, w pewnym momencie jechaliśmy za Workutę. Wtedy to właśnie nadszedł ten rozkaz i nas cofnęli.

Wówczas stawaliśmy do takiej niby to komisji, gdzie nam zadawano takie trzy pytania:

- Czy chcesz iść do Armii Czerwonej?
- Czy chcesz iść do Armii Polskiej?
- Czy chcesz iść do pracy?

No ja oczywiście zgłosiłem się do Armii Polskiej. Później byłem, najpierw w Uzbekistanie w 22-gim pułku piechoty. Byłem bardzo osłabiony. Nawet do tego stopnia, że nawet komisja nie chciała mnie przyjmować. Ale znałem pułkownika z KOP-u /Korpusu Ochrony Pogranicza/. On był znajomy z moim przyjacielem, który był tam, gdzie ja pracowałem. On był w Stołpcach i on "zapotrzebował" mnie, że jestem mu potrzebny jako "oświatowiec". No i potem ta druga komisja mnie przyjęła. Najpierw, jak myśmy przejechali, to nadal byłem tym oficerem oświaty i propagandy w tym pułku. A później, przypadkowo przyjeżdżał major Aleksandrowicz. Był on wiceministrem przy Świątosławskim, ostatnim przed wojną. I on zajmował się szkolnictwem wojskowym przed wojną. Jemu ono podlegało przy sztabie. I on tak popatrzył na to, co ja robię i mówi tak: tu dla pana nie miejsce. Ja chcę pana zabrać do szkolnictwa wojskowego.

I po pewnym czasie znalazłem się w szkolnictwie wojskowym. Najpierw byłem kierownikiem szkoły nauczania, szkoły mechaniczno-lotniczej, potem w szkole kadeckiej i tak dalej. Ze swoim zdrowiem do linii się nie nadawałem, na froncie bezpośrednio nie byłem. Potem do Włoch tylko przejechałem. Po rozwiązaniu Korpusu tylko przez Włochy wracałem.

Polacy znaleźli się w Rosji Sowieckiej w obozach pracy przymusowej, gdzie nas prowadzano pod strażą. I każdy taki obóz to miał te cztery wieżyczki, gdzie stał karabin maszynowy na wypadek, gdyby ktoś uciekał. Ale dużo Polaków było na wolnej zsyłce. Tu, moja żona z córką, gdyby nie uciekły przez Bug na teren Generalnej Gubernii, rodziny aresztowanych, wszystkich wywozili na wolną zsyłkę. Wszystkich wywozili. Najpierw rodziny gajowych, policjantów, oficerów. I potem innych, też takich trochę podejrzanych, do Uzbekistanu i gdzie jeszcze indziej. I to właśnie tych przymuszali. Bo tym, którzy byli w obozach, stawiano raczej tylko te trzy pytania. Ale o przymuszaniu do przyjęcia

waniu obywatelstwa radzieckiego to ja słyszałem. Bo tam, gdzie tworzyły się oddziały polskie, dużo przyciągnęło ludności cywilnej, która była na wolnej zsyłce. To oni mi też o tym opowiadali. Wiem z całą pewnością, że ten taki przymus był. Bardzo duży przymus. Tak o tym mówili.

Z tymi, którzy byli ze mną w obozie, którzy jechali ze mną na tych samych kółkach, bo tam byli i Rosjanie i Uzbeki, to tam nie było żadnych prześladowań. Ale przez dłuższy czas byłem w cywilu w Uzbekistanie, zanim dostałem się do wojska, to ci Uzbegy /tam też była autonomiczna republika Kareopacka, która wchodzi w skład republiki Uzbekiej/, to oni byli bardzo życzliwi. Gdy widzieli u nas braki w ubraniu, to dawali i w ogóle tak życzliwie odnosili się do Polaków. Nie można narzekać.

Do Polski wróciłem w 1947-mym roku. Zameldowałem się w Ministerstwie Oświaty. I w Ministerstwie Oświaty i - ponieważ ja zanim zostałem inspektorem - pracowałem jako nauczyciel w Seminarium Nauczycielskim, które kształciło nauczycieli, potem, gdy je likwidowano, poszedłem na stanowisko inspektora, miałem więc pewne doświadczenie. To mnie Ministerstwo Oświaty chciało zatrzymać na stanowisku wizytatora. Zastałem tu wielu znajomych z Wilna, którzy byli urzędnikami w kuratorium. Ja odmówiłem. Powiedziałem, że ja raczej chcę do szkoły pójść i że nie znam przepisów. To mnie chcieli do kuratorium warszawskiego. Czyli tak: nie tylko że miałem dużo znajomych, ale - tu trudno się chwalić - ale miałem też dobrą opinię u władz. I dlatego mnie tak i to i to proponowali.

Władze oświatowe były do mnie bardzo życzliwe. Natomiast władze polityczne to było ... i ... Na przykład ja przyszedłem... Najpierw byłem dyrektorem Liceum Pedagogicznego w Kutnie. Tam byli skłóceni dyrektor z innymi. No i tam jakoś wkrótce uspokoilem. Wówczas mi zaproponowano, abym miał opiekę nad tym, ale i jednocześnie objął w Zgierzu. Tam, w Zgierzu była chora - potem zmarła - dyrektorka, która miała

64 lata i ja objąłem to stanowisko. Więc jako przykład: wtedy jeszcze, w 1948-ym roku obowiązywały jeszcze w szkołach rekolekcje. Jeszcze były. No i wtedy, pierwszego dnia, to wtedy odprawiano... a ta /dyrektorka/ była pochowana w niedzielę, a to było w poniedziałek - nabożeństwo tam... na intencję tej nauczycielki. Ja wtedy byłem już dyrektorem. Do mnie w pewnym momencie przyjechał taki wóz niebieski, taki znany, i mnie wtedy do urzędu Bezpieczeństwa. I tak nie wiadomo co: to tak, to siak. Jakie tam były metody. Najpierw zaprowadzili mnie do jednego pokoju. Ten co zaprowadził i ja siedzę "Siedzę i siedzę. I nikt nie przychodzi. Ja sam jestem w tym urzędzie, w tym pokoju. Potem przyszedł znowu drugi, coś mi tam powiedział - jakieś ze dwa zdania - i zaprowadził do drugiego pokoju. I sam też poszedł. I znów ja sam zostałem. I dopiero trzeci zaczął tak mówić, tak mętnie, to i owo. I to właśnie było jedno.

Potem, w pewnym momencie, to znów to, że... moi dwaj ^{uczniowie} ~~synowie~~ uczęszczali do Zgierza i obaj korzystali ze stypendium. On w pewnym momencie zwraca się do mnie i powiada - jeden tam instruktor z komitetu wojewódzkiego: wyrzucić ich do czorta ze szkoły. Wyrzucić. No bo ich ojciec odmówił przystąpienia do spółdzielni produkcyjnej. Ja na to odpowiedziałem, że to są dobrzy uczniowie.

Tylko, że ja miałem akurat mądrego człowieka, pierwszego sekretarza. I jemu to przedstawiłem. On powiedział: dobrzeście zrobili. I tak sprawa ucichła.

I tak. To się tego czepiali. To potem, że tam jedna jest taka nauczycielka, która codziennie chodzi do spowiedzi. Do komunii świętej i na mszę. To znów z tego powodu. To ja znowu myślę tak: nie, konieczne coś trzeba zrobić. To ją przeniosłem na stanowisko bibliotekarki, żeby nie drażnić. Tak że były takie zatargi.

Albo znów kiedyś przychodzi, że znów.. że trzeba tutaj - nawet z komitetu ~~lokalnego~~ ^{centralnego}, wówczas stamtąd przyjechały dwie kobiety

Pamiętam, że kierownik oświaty to nazywała się Sztok a druga nazywała się Podkowa. Ale one podeszły do sprawy rzeczowo. I to mi się przydało. Bo one zobaczyły wreszcie, co ja tu faktycznie robię. To mnie w pewnym momencie Komitet Wojewódzki żądał odwołania. Motywano to tym, że ja trzymam za dużo tych nauczycieli przedwojennych. I wtedy, gdy były u mnie te dwie kobiety, akurat od oświaty, to one powiedziały: co? Stelmacha nie ruszać. To potem w tym dniu... bo już mieli mojego następcę. Wtedy przyjechał jeden pracownik i tego, który tak na mnie najeżdżał z Komitetu Wojewódzkiego, to wtedy on go wezwał przy mnie. No i on się kajał przede mną: ja już was nigdy nie zaczepię - powiedział.

Takich przykładów mógłbym dać więcej. Naloty były liczne i najrozmaitsze. Na przykład pytano: dlaczego nie wracaliście nie najkrótszą drogą, nie z Dywizją Kościuszkowską. Ale ja przecież nie wybierałem drogi. To było to właśnie.

W pewnym momencie, bo były pewne uprawnienia, to ja w Zgierzu chciałem się zapisać do ZBoWiD-u. To mi właśnie odmówiono motywując tym właśnie, że ja wracałem nie najkrótszą drogą. I ja zostałem przyjęty do ZBoWiD-u tutaj. Ale takie właśnie rzeczy się zdarzały, takie pogrożki różne.

Mnie to podziwiali, moją umiejętność, moje doświadczenie, że ja się potrafiłem obronić. Że inny to już by dawno wyleciał. A ja się stawiłem zdecydowanie. A jakie argumenty miałem najważniejsze? Bo ja zachowałem nauczycieli przedwojennych zatrzymałem, jeszcze z seminarium. Ale tak zorganizowałem szkołę, że miałem najlepsze wyniki. Mało tego. W ministerstwie nawet dwa razy minister wymieniał, że Liceum Pedagogiczne w Zgierzu jest najlepszą szkołą. Dlaczego? Bo mają najniższy odpad i najniższy odsiew. Bo tak: średnia krajowej była 45%, a u mnie 65%. No więc do mnie przyjechał, pamiętam nazwisko: Michalski też z KC i do mnie też z pretensjami: po co ja trzymam

tych wszystkich przedwojennych nauczycieli. A ja wszystkich dotrzy-
małem, że wszyscy przeszli na emeryturę tu, na miejscu. Miałem podsta-
wowy argument: co wy chcecie? Przecież to właśnie dzięki tym nauczy-
cielom ja utrzymuję najlepsze wyniki. No i zatkałem ja tego.. i tak
dalej.

W ten sposób, szczególnie ja, miałem to, że nowi przychodzili. A
ci starzy mieli na nich też wpływ dodatni. To grono pracowało ucz-
ciwie i miało wyniki. To ja tymi wynikami zawsze się szczyciłem, ale
naloty były. Były, niejednokrotnie. To tego zabrać, to tego zabrać. Ale
jakoś zawsze obroniłem.

Efekt był taki, że ja byłem jedynym dyrektorem, który najdłużej
był na tym stanowisku. W zawodzie kształcenia nauczycieli najdłużej
byłem. Był jeszcze jeden taki w Kłodzku, nazywał się Pięta. A tak, to
już wszystkich powymieniali.

Miałem szczęście. Zgierz, to jest miasto, które teraz liczy 60 ty-
sięcy mieszkańców. Tam było jednak duże upartyjnienie. I to jest jed-
nak miasto przemysłowe. Miałem przede wszystkim mądrych sekretarzy.
Był taki sekretarz, który zawsze stał po mojej stronie. Kiedyś przy-
chodzi do mnie taki instruktor ZMP i oświadcza: na pierwszego maja
zabieramy młodzież. Bo my tworzymy kolumnę młodzieżową, ogólną, ze
wszystkich. A on się chciał popisać, bo ja miałem czterysta osób
w internacie, to taka grupa to by coś znaczyła. Ja się stanowczo ~~sp~~
sprzeciwiłem. Powiedziałem: ja wam nie dam. Moi uczniowie, owszem, po-
maszerują ale pod kierunkiem swoich wychowawców i nauczycieli jako
szkoła. A ja wam do tej kolumny młodzieży nie dam. On się sprzeciwia.
Ja wtedy zwracam się do sekretarza. I wtedy sekretarz mnie poparł.
I jego do siebie poprosił i kategorycznie powiedział: daj spokój,
dyrektor ma rację. I tak to się skończyło.

W dwóch czy nawet trzech wypadkach pomogło mi to, że miałem mąd-
rych i naprawdę kulturalnych sekretarzy. Zwłaszcza sekretarzy miej-

skich, którzy mnie obronili. Ale tych takich piesków, tych instruktorów z Komitetu Wojewódzkiego i innych to miałem raz po raz. To potem... że na przykład tak. Miałem stróża nocnego, on mieszkał na mieście. Ale ponieważ do szkoły należał spory teren, miałem ponadto i konia i trzodę. To było takie wyłapywanie. Mianowicie rano, jak to się już skończyło, to n, tam gdzie koń to było zgromadzone siano i tam była pasza, to on tam kładł się i spał. Bo ja jemu pozwalałem też i wydawać i posiłki. On potem sobie jechał. To mnie oskarżyli. Przyjechał, aż z komitetu, że ja zakwaterowałem stróża w chlewie. O takie miałem przejścia. Czasami to bardzo śmieszne zajścia były w mojej pracy.

Do Białegostoku ze Zgierza trafiłem w ten sposób, że zameldowałem się do ~~Bielska Podlaskiego~~ ministerstwa. Ministerstwo Oświaty wtedy powiedziało tak:/bo ja do Białegostoku wróciłem jako emeryt, a tak to byłem tam, jak się zameldowałem, to byłem wtedy wprost... oświata mnie wtedy rozrywała. Ludzi brakowało, to mnie i w Ministerstwie chcieli tym bardziej, że miałem tam wielu znajomych. To mnie chcieli i do Kutna. Ale ja się broniłem. I wtedy skierowali mnie do Zgierza do Zakładu Kształcenia nauczycieli na stanowisku dyrektora. I ja tam zostawałem aż do jego likwidacji. Był to rok 1962-gi. Potem tam powstało studium. To ja jeszcze jakiś czas w studium pracowałem jako wykładowca matematyki i metodyki nauczania.

A w 1972-gim roku byłem już tu. Dlaczego tu? Bo tak. Tam żona zmarła trzy lata wcześniej. Ale tam źle się czuła, bo nie było nikogo z rodziny. A tu, w Białymstoku, miała brata, w Łuku siostrę. To jest jedno. Z drugiej strony tam, gdzie myśmy mieszkali, to było w zasięgu wpływów zakładów chemicznych "Boruta". I lekarz też zalecił, żeby zmienić miejsce. Żona, która była nauczycielką, jeszcze przed wojną miała początki gruźlicy. I dlatego lekarz nalegał, żeby koniecznie zmienić miejsce zamieszkania. Ja tu przeniosłem się jako emeryt. Tu

byłem przewodniczącym sekcji emerytów na całe województwo w Związku. Ale ostatnio już nie, bo ja mam teraz 93 lata. Jestem z 1898-go roku. Byłem w trzech wojnach. Ostatnio byłem odznaczony za 1920-ty rok. Odznaczony byłem tutaj, w Białymstoku, odznaczenie przyznało mi Ministerstwo Obrony tak jak i innym. Bo ja w 1920-tym roku walczyłem pod Warszawą, potem na Wołyniu a następnie na Podolu.

Podpis: S. Sięko